

Balik, Zenon

W syberyjskich tajgach żyć... (2)

Przegląd Pruszkowski nr 2, 52-73

1999

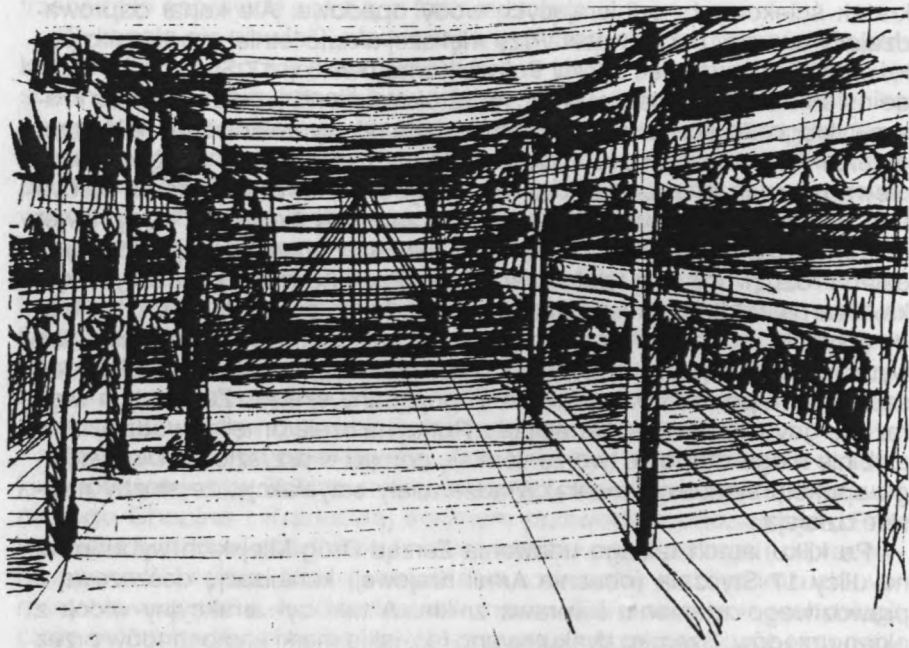
Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W syberyjskich tajgach żyć ... ^{x/} (2)

^{x/} Z "II Pieśni syberyjskiej", autorka: Anna K.
Dziesiąty luty będziemy pamiętali,
Przyszli sowietci, myśmy jeszcze spali,
I nasze dzieci na sanie włożyli.
Na główną stację wszystkich wywozili.

POCHYLONY STARY BARAK



W baraku było zimno, ale przygotowano narąbanego drewna i stały tu dwa żelazne piece. Środkiem baraku (o długości 30 do 40 metrów i szerokości około 6 metrów) biegł wąski, wydzielony dwiema ściankami korytarz, który w razie potrzeby mógł służyć jako pomieszczenie dla warty pilnującej więźniów. Wzdłuż jednej i drugiej ściany baraku, także przy ściankach przepierzenia ciągnęły się przez całą długość baraku, podobne do gigantycznych półek prycze drewniane z tupanych desek. Odległość pryczy od podłogi wynosiła około 80 centymetrów, szerokość niecałe dwa metry. Spało się na nich układając się w poprzek. Prycze były w miarę równe, lekko nachylone do środka baraku. Nad pryczami, w obu dłuższych ścianach, było kilka małych okien. Ściany baraku zbudowane zostały z nadmurszałych sosnowych bali, o dość dużej grubości. Szpary między balami były uszczelnione mchem. Jak później dowiedzieliśmy się od tubylców, barak był dawniej, za czasów zsyłek carskich zamieszkały przez więźniów. Część zesańców, którzy przeżyli, zapuściła tu korzenie, założyła rodziny i pozostała w tej okolicy. Od wielu lat barak był nie używany i trochę zdewastowany. Teraz zaszła potrzeba przystosowania go do zamieszkania. Przed naszym przyjazdem naprawiono kilka uszkodzonych miejsc, wstawiono kilka szyb i ustawiono dwa piece żelazne: jeden na początku, drugi w końcu baraku. Dwa wejścia znajdowały się w przeciwnych końcach baraku, ale używane było tylko jedno, od strony podjazdu. Środek baraku był deptakiem i zarazem chodnikiem komunikacyjnym.

Barak stał na zboczu wąwozu, którym płynął mały strumyk. Miejsce baraku stanowiło jakby stopień wykuty w zboczu wąwozu. Źródłem wody pitnej był strumyk. W porze zimowej robiono przerębel lecz w czasie najsilniejszych mrozów wodę otrzymywaliśmy ze stopionego lodu i śniegu.

Tego wieczoru cała nasza grupa przyjechała tu jako pierwsza, resztę ludzi przywieziono dopiero po dwóch lub trzech dniach. Rozlokowaliśmy się na razie dowolnie na jednej pryczy przy oknie. Pierzyny, koce, poduszki i prześcieradła na pryczach, a reszta różnego sprzętu trafiła pod pryczę. Pierwszą noc spaliśmy mocno i długo, bo byliśmy bardzo strudzeni podróżą, a rano nikt nam nie zakłócał spokoju, bo byliśmy sami. Przed południem przywieziono nam chleb z osady, która miała nazwę, o ile pamiętam, Jurokta. Możliwe, że jej prawdziwa nazwa to: Jurochta, Jerochta. Znajdowała się ona na lewym brzegu rzeki Czuny. Administracyjnie należała do obwodu irkuckiego. Była to wieś robotnicza. Około 12 kilometrów w górę rzeki, na tym samym brzegu, znajdowała się miejscowość o przybliżonej nazwie: Palenczet. Polacy spłszczyli tę nazwę na Palenczyce. W Palenczycach mieszkało około kilku tysięcy ludzi. Był to ośrodek przemy-

słu drzewnego, a Jurokta była jak gdyby jego filią. W górę rzeki ale na prawym brzegu, w odległości 4 lub 5 kilometrów, znajdowała się wioska rolnicza o nazwie Kadareja. W dół rzeki, nie wiem w jakiej odległości leżała miejscowość Czunojar.

Któregoś wieczoru przywieziono innych Polaków, wśród których poznaliśmy skierowanego do naszego baraku człowieka z zawiniętym palcem, który zadarł z moim ojcem. Przeleciały nam ciarki po plecach. Baliśmy się o ojca, ale nie doszło do awantury. Początkowo ów człowiek, jak się okazało Ukrainiec, groźnie spoglądał na ojca, ale później podszedł do niego i zapytał:

- Czy to powinno tak być? - i podali sobie ręce.

Uściskali się serdecznie i odtąd został kolegą ojca. Po dowiezieniu ostatniej grupy Polaków w baraku zrobiło się ciasno. Wszystkie prycze były już zajęte zanim przywieziono ostatnią grupę. Zaczęły się więc nieporozumienia. Sytuacja była bardzo napięta, ale przecież nie było innej rady, jak pogodzenie się z losem. Wybrano coś w rodzaju samorządu. Zmierzone łączną długość wszystkich pryczy, wypadło na jednego człowieka 32 centymetry. Wszystkich trzeba było ścieśnić. Najgorzej wyszedł na tym pewien samotny pan, który nazywał się Baiarz albo Kobylarz (pomieszały mi się te nazwiska). Na pryczę 32 centymetrowej szerokości nie można było ułożyć się na wznak. Powstał zatem nowy problem, który rozwiązano przyczyniając panu Kobylarzowi około pół metra szerokości pryczy więcej kosztem innych. Przyniesiono skądś łupanych desek sosnowych i zrobiono z nich przegrody na pryczach, dla każdej rodziny i dla pana Kobylarza. Część osób była zmuszona układać się do snu w nogach, z nogami wyżej niż głowa, bo jak już zaznaczyłem, prycze były lekko nachylone w kierunku środka baraku.

Po jednodniowym wspólnym odpoczynku, poświęconym na uporządkowanie spraw lokalowych, zapowiedziano wizytację ważnej osobistości: komendanta całego zgrupowania na Juroktę i Palenczyce. Następnego dnia przybył on do naszego baraku w towarzystwie kilku cywilów. Komendant był w mundurze oficerskim (stopnia nie pamiętam). Zaczął on przemówienie od słowa: „*towariszczi!*”. Mówił wolno, żeby być zrozumianym. W swoim przemówieniu powiedział, między innymi, że on jest tu osobą najważniejszą, że o wszystkim trzeba go powiadamiać: o warunkach bytowych, o nieporozumieniach, o chorych i zmarłych. Jego siedzibą są Palenczyce, ale będzie tu przyjeżdżać w razie potrzeby przynajmniej raz w miesiącu. Przedstawił trzech osobników jako naszych przełożonych i pracodawców, których trzeba bezwzględnie słuchać. Powiedział coś o sprawiedliwości radzieckiej i o zasadzie:

„- Kto robotajet, tot i kuszajet”.-

Wszyscy dorośli i rośniejsza młodzież obowiązkowo musi się stawić do pracy. Każdy roboczy otrzyma walonki i kufajkę. Dzieci i starcy nie mogą się oddalać, szczególnie kiedy trwa zima, bo łatwo mogą zaginać lub zamarznąć. Chleb będzie dostarczany codziennie i na razie limitowany: kilogram dla pracującego i 600 gramów dla „wyżywieńców”, czyli dla dzieci, ludzi starych, ułomnych i chorych. Dostaniemy jeszcze trochę kaszy jak „dojdzie” zaopatrzenie i nic więcej. Z początku chleb będzie wydawany na kredyt. Później trzeba go spłacić pracą. Walonki i kufajki też.

Po chwili na dworze zaczęli wydawać walonki i kufajki prosto z kilku sanek stojących przed barakiem, zaprzężonych w konie. Walonki i kufajki miały jednakowy rozmiar, ale musiały pasować na każdego. Niski mógł cholewki walonków zawinąć, a do środka włożyć więcej szmat lub siana. Kufajkę natomiast może każdy dopasować przez podwinięcie końców rękawów i przeszycie guzików, ewentualnie przepasać się paskiem, lub powrozem. (W kufajkach tego samego rozmiaru chodziły dzieci na Sybirze od siódmego roku życia). Tak więc wszyscy ubrali się i wyszli do pracy.

Wieczorem ojciec i matka przyszedli po pracy do domu trochę osmoleni. W nowej kufajce matki były wypalone trzy dziury, kufajka ojca świeciła wypaleniem tylko w jednym miejscu. Spytałiśmy, skąd to uszkodzenie nowego ubrania. Okazało się, że wszyscy mieli wypalone kufajki, jedni więcej, drudzy mniej. Praca ich polegała bowiem na wypalaniu chrustu i gałęzi, które były pościnane latem i złożone w stosach. W zimie spala się to drewno, żeby oczyścić las. W lecie byłoby to niebezpieczne ze względu na zagrożenie pożarowe. Matka pracowała w grupie robotników słabszych, składających się przeważnie z kobiet, których zadanie polegało na wrzucaniu do ognia drewna przyniesionego przez mężczyzn. Drewno mdrzewiowe trzaska w płomieniach a rozpryskujące się iskry wypalały kufajki. Do pracy tej dochodzono daleko w tajgę. Czas dojścia nie był wliczany do ośmio-godzinnego dnia pracy, obowiązującego każdego w Związku Radzieckim. Jeśli dojście do pracy trwało dwie godziny i tyleż czasu powrót do domu, to faktycznie byli zajęci przez dwanaście godzin dziennie. Byli więc bardzo zmęczeni i głodni. Kilogram chleba dziennie dla pracującego tak ciężko przy braku innej stawy jest pożywieniem niewystarczającym. W świecie sytości trudno to sobie wyobrazić. Jedząc chleb jako tylko dodatek do gotowanej stawy można go zjeść do pół kilograma dziennie.

My, dzieci, siedzieliśmy w domu i razem ze starcami pilnowaliśmy ognia w piecu. Drewno na opał częściowo przynosili dorośli wracający z pracy do domku, a reszta była organizowana na miejscu przez wszy-

stkich kto mógł. Każdego dnia liczyliśmy, ile dziur przybyło w kufajkach naszych rodziców. Najgorzej wyglądała kufajka matki. Martwiliśmy się, że kufajka mamy nie doczeka wiosny, bo się rozleci od dziur, których było coraz więcej. Przypadek zrządził, że doczekała.

OKRUTNY TYFUS

Po kilku dniach stabilnego życia w baraku pojawiła się choroba. Chorych przybywało z dnia na dzień, było ich coraz więcej. Mieli wysoką gorączkę i skarżyli się na ból brzucha. Niektóre matki nie mogły chodzić do pracy, bo musiały się zająć chorymi dziećmi. Jeżeli przełożony Rosjanin stwierdził u dziecka wysoką gorączkę dotykając dłonią czoła chorego, zezwalał wówczas matce na pozostanie przy dziecku. Po kilku dniach liczba chorych tak wzrosła, że coraz mniej pozostawało ludzi zdolnych do pracy. Wściekał się przełożony, że planu nie wykona i wyciągał z baraku kogo się dało.

W następnych dniach uświadomiono sobie, że to nie jest niegroźne przeziębienie czy tylko lekka grypa. Powiadomiono naczelnika i sanitariusza w Pałęczycach. Znając liczbę chorych naczelnik i sanitariusz słusznie osądzili, że jest to epidemia. Był to tyfus. Naczelnik zarządził całkowitą izolację. Od tej chwili nikogo nie brano do pracy. Rosjanie otrzymali zakaz kontaktowania się z Polakami. Polakom zabroniono oddalać się od baraku i przebywać w pobliżu tubylców. Byliśmy zatem zostawieni pod opieką tylko Pana Boga. Zaopatrzenie w chleb wyglądało teraz w ten sposób, że zaopatrzeniowiec przywoził pieczywo saniami zatrzymując się na górcie nad barakiem, krzyczał z daleka, żeby nie wychodzić na jego spotkanie. Wyładowywał chleb na górcie i dopiero po jego odjeździe Polacy zabierali ładunek, sami dzielili się nim zabierając dolę dla zdrowych i chorych.

W naszej rodzinie pierwszy zachorował Michałek, potem Todzia. Po kilku dniach Romek. Matka nie poszła do pracy, żeby się opiekować chorymi i sama się rozchorowała. Tego dnia, kiedy matka dostała gorączki, ojciec był w pracy. Wrócił do domu w dreszczach. Trzęsło go z zimna. Pomógł przyrządzić kawę z przypalonego chleba, dał chorym do picia. Położył się na pryczy i żeby się szybciej rozgrzać wcisnął się pod pierzynę między chorą matką i Todzią. Rano ojciec czuł się lepiej, ale dostał pozwolenie na pozostanie w domu, aby opiekować się chorymi. Działo się to zanim jeszcze zarządzono przerwanie pracy i izolację. Na drugi dzień Krysia i ja dostaliśmy wysokiej gorączki. Teraz już prawie cała rodzina była chora: matka i pięcioro dzieci z wyjątkiem ojca, chociaż wcześniej tamtała go gorączka. Nie zachorowała też stara ciotka Kaśka, niemowa. Mimo, że ojciec spał razem z chorymi, uniknął choroby. W innych rodzinach rów-

niez nie wszyscy chorowali, ale były też takie, gdzie jednocześnie chorowali wszyscy.

Powstała na ten temat pieśń:

"Mróz, wielka zima, w lesie ciężka praca.

Głód i tęsknota wszystkich nas przeraża.

Tyfus okrutny wśród ludzi się szerzy.

Co dzień to więcej pod sosnami leży."...

Bo, niestety, codziennie kogoś grzebano w lesie. Kilkadziesiąt metrów za barakiem powstał cmentarz. Trupy były składowane w „bani” (t.j.łażni) w wąwozie przy strumyku. Pan Calik zrobił kilka prostych trumien. Każdemu, kto odszedł, przydzielono jakieś miejsce pod sosną. Chowano ludzi w trumnach lub zawiniętych w prześcieradła.

Ojciec nasz, chcąc za wszelką cenę uratować rodzinę, nie zważając na zakazy, wziął maszynę marki „Singer” (samą główkę) i poszedł z nią do osady Jurokta. Chciał zdobyć trochę mleka dla chorych. Nie wszędzie chciano z nim rozmawiać, nie bardzo wiedzieli, czy ta maszyna może im przydać się na coś. Jedna Rosjanka, nie tyle z potrzeby kupna tej maszyny jak z litości, powiedziała ojcu, że jeśli chce, może zostawić maszynę a ona będzie dawała za nią po pół litra mleka przez dwa tygodnie. Ojciec nie miał wyboru i chętnie się zgodził. Do baraku wrócił z półlitrowką mleka. Podobnie robili inni. Odtąd ojciec przygotowywał nam napój: kubek przegotowanej wody i do tego łyżka mleka. Była to biała woda. Piliśmy ją całymi dniami, bo w gorączce pragnienie było wielkie. Mleka wystarczyło dla nas i jeszcze można było poczęstować innych. Chyba ta biała woda miała jakieś właściwości lecznicze, bo po kilku dniach u niektórych można było zauważyć poprawę. Wszyscy chorzy bardzo tracili na wadze, bo przy wysokiej gorączce nikt nie miał apetytu do jedzenia żytniego, razowego chleba, który codziennie nam dostarczano.

Tak się złożyło, że tym razem wszyscy w rodzinie przetrzymaliśmy epidemię tyfusu. W rodzinach bliżej znajomych, mniej licznych, gdzie było mniej chorych, też wszyscy się jakoś „wylizali”, bo byli młodzie i bardziej odporni. W innych rodzinach było znacznie gorzej. Na przykład pan Charasymowicz został tylko z synem a jego żona i córki zmarły. Nasza ciotka Katarzyna chorowała w dzieciństwie na tyfus, była więc na tę zarazę odporna. Szczególnie teraz była nam bardzo potrzebna. Kiedy ojca nie było, wykonywała wszelkie roboty domowe: mycie, sprzątanie, przynoszenie wody, a przede wszystkim reperowała i cerowała niszczącą się odzież i bieliznę.

Jej ulubionym zajęciem było iskanie wszy. Iskała się sama i napotkane dzieci. Sadzała je na kolanach obszukując ich odzież i głowy. Jeśli któreś dziecko nie chciało poddać się jej zabiegom, zachęcała je na migi.

Plaga wszy była jednak niczym w porównaniu z rojami pluskwiew, które nas żarły. Gnieździły się w pryczach. Pluskwy dawały się we znaki tylko po ciemku: wieczorami i przez całą noc. Nie pozwalały spać. Jak się ktoś w nocy obudził, to już nie zasnął. Polowanie na pluskwy po ciemku było bardzo trudne. Nie było czym zaświecić, bo zapalaki były tylko do zapalania ognia, a jak ktoś zdobył ich kilka, to trzymał je do zapalania skrętów, zrobionych z machorki korzennej i zawiniętych w kawałek papieru z książki lub gazety. Nie było żadnego stałego światła. Kiedy ktoś nie mógł wytrzymać, schodził z pryczy, przypalał od pieca kawałek tuczywa i gniótt pluskwy paznokciami. Nażarte do syta chodziły jak bąble. Przyciśnięte do deski paznokciem pękały z trzaskiem i tryskała z nich krew ludzka na wszystkie strony. Z pluskwami walczyli na ogół zdrowi mniej zmęczeni. Inni spali rzucając się na pryczy niespokojnie, drapiąc się po całym ciele. Na pluskwy nie było żadnej rady. Zapalone światło płoszyło je, uciekały wówczas kryjąc się w szczelinach pryczy. W dzień jednak nie zostawały nigdy w pościeli. Ten rejon był zarezerwowany dla wszy. Wszy można było częściowo wytępić przez iskanie i gotowanie bielizny. Jednak po obleczeniu czystej pościeli i bielizny natychmiast się pojawiały. Odwzsenie wszystkich na raz nie było możliwe. Można odnieść wrażenie, że wesz rodzi się sama z nędzy i brudu. Wobec nędzy wszyscy byli bezradni, jak również na brud, bo nie było środków do prania. Niewielkie zapasy mydła zużyto w drodze. Nie przypominam sobie, żeby ktoś dostawał mydło. Kupić go też nie było można, bo nie mieliśmy pieniędzy, a gdyby one i były, kupno było niemożliwe, bo nie było sklepu. Wszystko, co posiadaliśmy, dostawaliśmy od władzy, która potraçała nam to z zarobionych pieniędzy.

Tak doczekaliśmy wiosny. Zaczęły topnieć śniegi. W dzień robiło się ciepło: 12 maja popękał lód na Czunie. Rzeka wylała tworząc wielkie rozlewiska. Poszły soki w brzozech. Ktoś z Polaków spuścił z brzozy bańkę wody brzozowej i zaczęliśmy ją pić. Wobec braku od kilku miesięcy cukru, ta woda wydawała się nam bardzo słodka. Ojcowie nasi byli zajęci w pracy i nie miał kto utoczyć nam tej wody. Ja czułem się jeszcze słabo, zataczałem się po izbie, ale chłopaki pana Calika, Zdzisiek i Czesiek wyciągnęli mnie po ten sok. Wziąłem bańkę blaszaną czterolitrową i poszliśmy za górkę. Niedaleko stały stare, pochylone i grube brzozy. Na takiej pochylonej brzozie nacinano się rowki w kształcie litery V i pod tym nacięciem wbijało się w drzewo czop, najlepiej wydrążony w kształcie korytka. Pod czopem stawiało się na ziemi bańkę, do której spływał sok. Początkowo ciekł ciurkiem, a później kapaniem, bo na okaleczonej korze sok po kilku godzinach krzepnął, zamieniając się w galaretkę. Na koniec kapanie zupełnie ustawało. Zanim jednak to nastąpiło, z brzozy spłynęło co-

najmniej litr albo dwa litry soku. Było w nim sporo witamin i innych składników odżywczych może w postaci mikroelementów. Soki z brzozy płynęły jednak krótko, najwyżej trzy tygodnie. Potem z soku pod korą brzozy tworzyła się warstewka mięszu, z którego formował się jednoroczny przyrost drewna. Wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy, że po okorowaniu brzozy ten młody miąższ można było zeszkrobiwać i zjadać. Było to naszym odkryciem w latach późniejszych. Oczywiście, okorowana brzoza ginęła, ale tym się nikt nie przejmował.

Niektórzy zesłańcy mieli zapasy mąki jeszcze z Polski, ale tutaj nie było warunków, żeby z niej coś upiec. Dopiero gdy śniegi stopniały i rozmarzła południowa skarpa wąwozu, mężczyźni wykopali w niej jamę z otworem kominowym. Grunt był odpowiedni, bo była w nim glina. Powstał prawdziwy piec dymarkowy. Podziwialiśmy tę budowę, szczególnie zachwycali się nią chłopcy. W tym piecu piekł się prawdziwy, pszenny, biały, polski chleb. Czekaliśmy z niecierpliwością na koniec pieczenia, mając nadzieję, że będziemy poczęstowani kawałkiem chleba. I tak się też stało. Przypomniat się wtedy nam polski raj.

Rosjanie, którzy przychodzili do nas, zawsze coś żuli albo łuskali małe orzeszki. Jak się później dowiedzieliśmy żuli oni naturalną żywicę z tutejszych modrzewi. Czasami wyjmowali ją ze swoich ust, żeby nas poczęstować tą brązową, elastyczną, pachnącą i słodką masą żywiczną. Bardzo nam ona smakowała. Była to po prostu naturalna guma do żucia. Rosjanie nie zdradzali nam sposobu urabiania tej żywicy tak, aby uzyskać stan plastyczności. Jednak z czasem Polacy podejrzeli, jak to się robi. Otóż ze starego zwałonego modrzewia wyłupywało się grudki żywicy, która gromadziła się na okaleczeniach kory. Brało się do ust sporo tych grudek żywicznych, a nawet proszku i żuło. Początkowo masa była krucha i bardzo gorzka. W ustach gromadziły się duże ilości gorzkiej śliny, którą się wypluwało. Trzeba było tak żuć z godzinę, wypluwając gorzką ślinę. Masa stawała się coraz bardziej elastyczna i coraz słodsza i później nie trzeba było wypluwać śliny, tylko ze smakiem połykać. Rosjanie syberyjscy nazywali ją „siera”. Żuli ją właściwie bez przerwy pomiędzy posiłkami. Specjalna technika żucia *sier*y sprawiała, że w żutej masie tworzyły się spore pęcherze powietrza. Zawijało się je językiem i zagniatąo brzegi zębami, by w następnym nagnieceniu zębami spowodować głośny trzask pękającego pęcherza. W ten sposób uzyskiwało się odgłos podobny do trzaskania z bata. Niektórzy żuli tak, żeby co drugie naciśnięcie wydawało trzask. Później i my nauczyliśmy się tej sztuczki.

Upodabnialiśmy się stopniowo do sybiraków. Łuskane przez nich orzeszki to ziarna z szyszek kiedry syberyjskiej (cedru). Są to podłużne

orzyszki nieco mniejsze od laskowych. Nawet wiosną zebraliśmy trochę szyszek kiedrowych prosto z drzewa. Większość szyszek była wyłuskana przez wiewiórki, których tu nie brakowało. Kiedra syberyjska jest drzewem iglastym. Szyszki ma krótsze od świerkowych, ale grubsze, pękate, o kształcie bardziej stożkowym. Podobne są one do sosnowych, ale dużo większe. Na ogół za każdą łuską znajduje się orzeszek wielkości ziarna dużej fasoli. Orzeszki te są bardzo smaczne, były w całej okolicy znane i sprzedawane na bazarach przez zbieraczy jako największy przysmak po "siemiczkach" - czyli prażonych ziarnach słonecznika. Na razie nie było sezonu i zdobycie orzeszków było bardzo trudne. Trzeba było poczekać do jesieni.

Pewnego dnia powiał wiatr i mieszkańcy baraku zostali zaalarmowani o zbliżającym się nieszczęściu. Przyczyną tego alarmu było przypadkowe odkrycie przez jednego z mieszkańców, że bardzo wielka i stara sosna, pochylona lekko w kierunku baraku, u samej ziemi jest poderżnięta piłą od strony zewnętrznej. Wyglądało na to, że ktoś podstępnie chciał spowodować zwalenie tej sosny i tym sposobem zniszczyć barak. Podpiłowaną sosnę pozostawiono własnemu losowi: niech sam czas dokona dzieła. Sosna, chwiejąc się, od czasu do czasu wydawała trzaski, oznaczające stopniowe pęknięcie swoich włókien. Wielkość tego drzewa i kruchość baraku gwarantowała osiągnięcie zamierzonego celu, tymbardziej, że barak był już zmurzały i pochylony. Zbiegli się mężczyźni i zaczęli szukać powrozów, żeby przywiązując je do wierzchołka sosny spróbować przechylić ją w innym kierunku. Powstała wielka panika. W baraku było jeszcze sporo chorych, którzy po epidemii tyfusu jeszcze nie doszli do zdrowia. Posłano kogoś do osady z prośbą o pomoc i dostarczenie powrozów. Tak się złożyło, że silniejszych ludzi nie zastano na miejscu, bo byli w pracy, daleko w tajdze. Tymczasem wszyscy zaczęli opuszczać barak. Zdrowsi wychodząc wynosili ze sobą coś z dobytku. Chorych wynoszono na górkę razem z pierzynami. Po kilku godzinach barak był pusty. Przyjechali konno Rosjanie z osady. Było ich kilku. Przywieźli liny konopne. Potrzebny był ktoś lekki, dość mocny i odważny, żeby wdrapał się na stojącą jeszcze sosnę, by przywiązać na odpowiedniej wysokości dwa końce lin konopnych. Odważnych nie brakowało, ale nikt z obecnych tu Polaków nie miał dość siły, żeby się wdrapać na gruby, pozbawiony gałęzi pień drzewa, mając do dyspozycji tylko gołe ręce. Rosjanie nie chcieli ryzykować. Powiedzieli:

- Jak chcecie mieć dach nad głową, to musicie wejść.

Wreszcie któryś z naszych chłopców opasując sosnę krótkim powrozem, wspomagany drągami, wdrapał się na wysokość, gdzie były już sę-

ki, i boczne odrosty, co pomogło mu w osiągnięciu wymaganej wysokości. Końce lin, które miał przywiązane do pasa zawiązał na sośnie. Szczęśliwie zszedł z drzewa. Teraz dwie liny rozciągnięto rozstawnie, pod znacznym kątem. Cała masa ludzi, starców i dzieciaków uczepliła się końców obu lin i ciągnęli bacząc, żeby zachować równowagę sił między nimi, żeby sosna upadła po wypadkowej, czyli między ciągnącymi. W tym czasie na dole podrzynano z boku piłą pierń sosny. Przechylili wreszcie sosnę na stronę zbocza, a kiedy już padała na ziemię, wszyscy na komendę porzucili liny i rozpieszczli się na boki. Operacja się udała. Sosna upadła prawie symetrycznie pomiędzy ciągnących. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Wniesiono chorych na powrót do baraku i przy okazji podparto pochyłą ścianę kilkoma balami.

Wszystko to było jednak tymczasowe i Rosjanie, odpowiedzialni za los kilkuset osób, w krótkim czasie postanowili dokonać przeprowadzki do kwatery zastępczych. Na tymczasowe kwatery przeznaczono budynek szkolny i stary dom w środku osady Jurokta. Przygotowano prycze i zarządzono przeprowadzkę. Na okoliczność tę użyto traktora gąsienicowego, który był używany do transportu leśnego. Traktor zarówno w zimie jak i w lecie ciągnął wielkie sanie. Na zrobionych z grubych bali płozach położono platformę z desek, zabezpieczoną barierkami. Traktor obrócił kilka razy zanim przewiózł wszystkich.

NAD SAMĄ CZUNĄ

Domy naszego nowego miejsca pobytu stały nad samym brzegiem Czuny. W pobliżu było kilka domów, kuźnia i stołówka. Cała zabudowa drewniana. Moja rodzina zamieszkała w jednej z sal szkolnych. W sumie były tam dwie sale szkolne, pokój nauczyciela i kancelaria szkoły. Wszystkie te pomieszczenia zostały zajęte przez rodziny polskie.

Po tyfusie całkowicie wyzdrowiały matka, Krysia i Todzia. Michałek był bardzo osłabiony i chyba miał jakieś powikłania po tej chorobie. U mnie natomiast i później u siostry Todzi zaczął się albo nawrót choroby, albo jakieś powikłania. Przedłużający się przebieg choroby nas trojga spowodował wyniszczenie organizmów. Nikt się nie orientował, jaka to choroba. Nie było lekarstw, nie było lekarza, nie było nawet znachora, tylko siły samej natury, na które byliśmy zdani. Wszystko to działo się gdzieś pod koniec czerwca 1940r. Matka nie dostawała już zwolnień na opiekę nad chorymi dziećmi, ponieważ choroba zbytnio się przedłużała. Całymi dniami leżeliśmy w łóżku we troje. Krysia bawiła się szmatkami a Romek buszował po sali i trząskał drzwiami. Byliśmy tak słabi, że nie mogliśmy ruszyć się z łóżka. Czasami Krysia podawała nam nocnik.

Latem matka zdobyła trochę warzyw i ryb od tubylców. Zaczęliśmy po trochu jeść i czasami wydawało się nam, że możemy wstać z pryczy, ale próby spełzały na niczym. Mnie i Todzia zaczęły wypadać włosy z głów. Todzia była jasną blondynką i miała piękne, długie włosy, plecione w dwa warkoczki. Pamiętałem ją jeszcze z Polski jako krakowiankę, ubraną w gorset z błyszczącymi cekinami, różnokolorowymi wstążkami i dwoma długimi, jasnymi warkoczami. Była piękna. Teraz włosy wychodziły jej całymi garściami, aż wyszły wszystkie, co do jednego. Było mi jej bardzo żal. Ja również straciłem wszystkie włosy, ale moich nie było mi żal, bo i tak od czasu do czasu byłem strzyżony na gołą pałę. Natomiast nie wyobrażałem sobie dziewczynki bez włosów. To też nic dziwnego, że Todzia opłakiwała swoje warkoczki.

Minęło kilka tygodni, był sam środek lata, kiedy spróbowałem wstać z pryczy, ale zwałem się bezradnie na podłogę. Ktoś pomógł mi wstać i trzymając się pryczy, rozpocząłem naukę chodzenia od nowa, jak niemowlę w kojcu. Po kilku dniach mogłem zrobić kilka kroków samodzielnie. Próbę chodzenia rozpoczęła również Tosia. Po raz pierwszy wyszedłem na dwór pewnego pięknego wieczoru, kiedy nad samą Czuną zdrowa młodzież paliła ognisko. Chciałem być z nimi. Dostałem od kogoś kawałek kija i podpierając się nim doszedłem do ogniska. Tego wieczoru cieszyłem się życiem i wydawało mi się, że jestem bardzo szczęśliwy. Wkrótce również siostra zaczęła wychodzić z domu. Po kilku tygodniach zauważyliśmy na swoich głowach delikatny meszek jak u niemowlęcia. Tak: to odrastały nasze włosy.

Często kręciłem się koło stołówki. Przy stołówce, na słupie, jak na szubienicy, wisiała tarcza podobna do felgi koła od ciężarówki i kiedy obiad był gotów i przyszła odpowiednia pora, ze stołówki wychodził kucharz i kilka razy uderzał młotkiem w zawieszoną tarczę. Na ten sygnał robotnicy z kuźni i drwale z pobliskiego składu drewna schodzili się na obiad. Zupa to zazwyczaj "szczy". Jak powiadali Rosjanie *"szczy i kasza piszczą nasza"*. Przyglądałem się jedzącym, jak to często czyni pies, kiedy je jego pan. Czasami któryś z robotników przywołał mnie do miski i oblizawszy swoją drewnianą łyżkę, którą zawsze nosił za cholewą, podawał mi ją i pozwalał wyjeść resztki. Teraz kasza z olejem roślinnym smakowała mi jak chleb z miodem. Jednego razu na drugie danie nie było kaszy tylko gulasz z niedźwiedziego mięsa. Dostało mi się tego sporo. Twarde było jak ścięgniwo wołowe. Zułem je długo jak *"sierę"*, dopóki kęsy nie zmiękły i nie rozkruszyły się na tyle, że mogłem je przełknąć.

Ja i Todzia wyzdrowieliśmy całkowicie i odrosły nam normalne włosy. Gorzej miała się sprawa z Michałkiem. Ten sześciolatek chłopak wysecht tak, że została z niego tylko skóra i kości. Wyglądał jak mały szkielecik.

Nigdy dotąd nie widziałem tak wynędzniałego dziecka. Zbliżała się już jesień, a Michałek wciąż leżał i kwękał. Nie mógł już usiedzieć na pryczy o własnych siłach. Ojca przy nas nie było, bo jak wspomniałem, pracował w Palenczycach.

Przeniesiono nas z budynku szkolnego do starego domu obok szkoły. Kilka rodzin przeniesiono do Palenczyc, więc my zajęliśmy po nich miejsce. Pomieszczenia szkolne opróżniano, bo postanowiono uruchomić szkołę podstawową. Matka sadzała Michałka na pryczy i podparła go poduszkami, żeby się utrzymał w pozycji siedzącej. On popłakiwał kwiląc, bo nie miał siły do płaczu. Wymiotował wszystko co dostawał do jedzenia czy picia. Zabawialiśmy go czasami, żeby mu się za bardzo nie nudziło. Spoglądał badawczo swymi wielkimi oczyma, widać było, że chciał żyć. Wieczorami matka modliła się o jego zdrowie. Z czasem, tracąc nadzieję na jego wyzdrowienie modliła się, żeby umarł i przestał się tak męczyć. Michałek jednak nie umierał, żył i wpatrywał się w nas swymi wielkimi oczami, które - jako jedyne nie zmały tak jak reszta jego ciała. Po kilku tygodniach jakby mu się zaczęło poprawiać, zaczął przyjmować pokarm. Pamiętam, że kiedy już siedział na pryczy o własnych siłach, bardzo tęsknił czekając na powrót matki i Todzi. Zbierały one przez cały dzień rydze w lesie, poczem stały długo w kolejce do miejsca, gdzie skupywano rydze. Michałek dopytywał się co chwila, czy już skupują. Kiedy usłyszał odpowiedź, że jeszcze nie, pojękiwał i kiwając się do przodu powtarzał:

- Czemu oni nie skupują, czego oni nie skupują...-

Ale stan jego zdrowia poprawiał się stopniowo i do zimy wyzdrowiał.

JAGODY

Mieszkając w osadzie Jurokta latem chodziliśmy na jagody a w jesieni na grzyby. Na jagody chodziło się bardzo daleko. Wyprawa na jagody w pojedynkę, lub nawet w kilka osób, było bardzo ryzykowne. Zgubienie drogi powrotnej groziło zabłądzeniem i zaginięciem w lesie, toteż ludzie chodzili całymi grupami licząc, że zbiorowa pamięć jest pewniejsza. W dużej grupie zawsze znalazł się ktoś, kto miał dobrą orientację w lesie. Dla zaznaczenia kierunku powrotu łamano wierzchołki niskich drzewek i krzewów. Łatwo można było zgubić orientację w lesie po znalezieniu dużego, ładnego pola jagodowego. Wszyscy zajęli się zbieraniem jagód, a potem każdy wskazywał inny kierunek jako właściwą drogę powrotu.

Chodziło się nieraz w kółko, zanim znalazło się złamaną gałązkę pokazującą dobry kierunek drogi powrotnej. Miejscowi Sybiracy mieli z tym mniej kłopotu, bo oni orientowali się po ukształtowaniu terenu, po wieku



lasu, kierunku biegu strumyków. Lepiej orientowali się w terenie, więc chodzili po lesie w rozsypance i nawoływali się co jakiś czas okrzykiem:

- Hop, hop!-

Na co inni odpowiadali okrzykiem:

- O! Ooo!...-

W tygodniu różnie, a w niedziele chodziliśmy na jagody całymi rodzinami. Dorosła zbieraczka lub sprytna dziewczyna potrafiła zebrać pełne blaszane ośmiolitrowe wiaderko. Moim rekordem był czubaty czajnik czterolitrowy. Część jagód zaraz po powrocie zjadaliśmy. Michałkowi sypaliśmy je całymi garściami, ale on zjadał tyle co wróbelek. Zabranialiśmy natomiast obżerać się Romkowi, który mógł zjeść każdą ilość jagód. Resztę oddawaliśmy do skupu. Przetworów nie robiło się, bo nie było cukru. Za sprzedane jagody było trochę rubli, które wydawaliśmy na wykup przydziałowego chleba. Kiedyś do magazynu przywieziono kreton, które-

go parę metrów matka kupiła na sukienki dla Todzi i Krysi. Sukienki matka uszyła w ręku, bo maszyny już nie było.

Jednego razu pani Zajączkowska, żona pana Rudolfa, zorganizowała grupę zbieraczy jagód. Wzięła naszą jedenastoletnią Todzię, która chciała zbierać trochę jagód, wyręczając naszą mamę, która chorowała po tyfusie na wątrobę, była tak słaba, że nie mogła chodzić o własnych siłach. Pamiętam, że gałki oczu mamy były żółte jak kwiat słonecznika. Grupa zbieraczy zablądziła pod wieczór. Kiedy zorientowali się, że zgubili drogę, Pani Zajączkowska szybko zdecydowała, że zostaną na miejscu, bo mogą po ciemku odejść jeszcze dalej od domu. Sądziła, że jej dorośli synowie, którzy zostali w domu, mogą przyjść im z pomocą, bo wiedzieli w którą stronę poszły zbieraczki. Po zmierzchu zrobiło się chłodno, więc kobiety i dzieci przytuliły się do siebie, żeby się ogrzać. Todzia później opowiadała, że przytuliła się do kolan pani Zajączkowskiej i zasnęła. Dla wielu uczestników tej wyprawy zapadła absolutna ciemność, bowiem cierpieli na kurzą ślepotę. Trzymali się kurczowo za ręce nie widząc nic. Ślepotą kurza występuje zaraz o zmierzchu. Dopiero późno w nocy usłyszano nawoływania synów pani Zajączkowskiej, którzy przyjechali na wypożyczonych koniach. Zaraz ruszono w drogę powrotną do domu. Todzia szła za końm, i ale napotyając jakąś nierówność lub większy korzeń drzewa potykała się i padała na ziemię a z nią czajnik, który początkowo był pełen jagód. Po kilku upadkach niewiele ich zostało, ale siostra wróciła do domu.

Innym razem duża grupa zbieraczy długo nie wracała do domu. Z naszej rodziny była między nimi Todzia, a może i mama jeśli była trochę zdrowsza. Czekaliśmy na nie bardzo długo, dopiero późnym wieczorem zbieracze wrócili, ale bez jednej kobiety, która się oddaliła od grupy. Przed wyruszeniem w drogę powrotną nawoływano ją, czekano, mając nadzieję, że może wróci, ale nie wróciła. Niektórzy odeszli na odległość głosu i obchodząc wkoło nawoływali zagubioną, ale bez skutku. Musieli wracać do domu. Na powrót grupy czekali też Rosjanie, którzy byli odpowiedzialni przed komendantem za wszystkich. Wypyтали przybyłych, gdzie byli na jagodach i wzięwszy jednego ze zbieraczy pojechali konno nocą w tym kierunku. Odszukali mniej więcej to miejsce, rozeszli się po lesie, trzymając między sobą łączność za pomocą trąbek myśliwskich. Penetrowali las do północy, ale wrócili bez zagubionej. Na drugi dzień zorganizowano większą grupę poszukiwaczy, przeważnie spośród Polaków, znów ruszając pieszo i konno. Wrócili bez rezultatu. Na następny dzień znowu wyjechali, ale w mniejszym składzie. Kiedy i to nie dało rezultatu, zameldowali komendantowi, że jedna osoba zaginęła i na tym koniec.

Co groziło zaginionym w lesie? Można tu wymienić kilka ewentualności: błąkanie się po tajdze aż do kresu życia, napotkanie niedźwiedzia lub

watahy wilków; śmierć z głodu i pragnienia lub śmierć na skutek długotrwałego kąsania owadów, czyli muszek syberyjskich i komarów. Wszystkich przypadków nie będę opisywał, gdyż są one łatwe do wyobrażenia, chciałbym tylko uświadomić Czytelnikom, jak bardzo niebezpieczne jest pokąsanie przez owady. Muszkę syberyjską nęci zapach potu ludzkiego. Szczególnie łągnie do brudnego i spoconego ciała. Muszka atakuje tylko we dnie. Kąsa po rękach i twarzy, a najchętniej siada na skroniach, gdzie skóra jest cienka i natychmiast kąsa. Jest tak zajadła, że wejdzie nawet za kołnierz, za rękaw i w nogawkę. Są ich całe chmary i oganiać się od nich jest niemożliwe na dłuższą metę. Kąsanie początkowo drażni skórę, wywołuje swędzenie i ból, potem występują obrzęki i rany. Kiedy już skóra rozjąwszy się, staje się wilgotną i podeszła krwią, wówczas jest niemożliwością spędzenie muszki z tego miejsca, tak gwałtownie je atakuje. Można klepać raz po raz, za każdym razem zabijając kilka muszek, a tymczasem inne miejsca obsiadają roje nowych muszek. Po kilku dniach człowiek puchnie, następuje zatrucie organizmu i śmierć. Przed muszką robotnicy leśni byli zabezpieczeni za pomocą kapeluszy, spod których z tyłu zwisało płótno a z przodu siateczka, bardzo gęsta. Płótno i siatka są na tyle długie, że wkłada się je za kołnierz koszuli i szczelnie się go zapina. Nazywaliśmy to po prostu maskami. Było w nich strasznie duszno i gorąco. Do zbierania jagód tylko niektórzy zakładali maski, inni smarowali się dziegciem. Smaruje się wszystkie odsłonięte części ciała, a więc całą twarz, szyję, ręce i ewentualnie łydki nóg. Było to bardzo nieprzyjemne, bo dziegieć nieprzyjemnie cuchnie, ale był bardzo skuteczny, lecz tylko na jeden dzień.

Ogromne zdumienie powstało, kiedy po czternastu dniach zaginiona wróciła sama. Była tak spuchnięta, że ledwo widziała na oczy. Jej skóra na skroniach, twarzy, szyi i łydkach na całej powierzchni ociekała ropą. Zagubiona była bez maski. Dziegieć, którym była wysmarowana skutkował jeden, a najwyżej dwa dni. Mówiła, że w ostatnich dniach z trudem się poruszała i z trudem zdobywała jagody do jedzenia, bo opuchlizna zamykała jej oczy. Zarówno jej rodzina jak i my wszyscy cieszyliśmy się z jej powrotu.

Po tym zdarzeniu wszyscy, przebywając w lesie, byli bardzo ostrożni i czujni. Jednego razu i ja zabłądziłem. Byłem niedaleko w dość małej grupie. Poszliśmy w innym kierunku niż pozostali. Byliśmy czarni jak murzyni, wysmarowani tak grubo dziegciem, że tylko oczy nam błyszcząły. Kiedy nazbieraliśmy jagód i chcieliśmy już wracać, okazało się, że nikt nie wiedział, w którą stronę mamy iść. Po kilku godzinach błędzenia z duszą na ramieniu, doszliśmy wreszcie do wysokiego brzegu nad Czuną. Teraz było już łatwo trafić do domu. Ten brzeg był widoczny z Jurokty, ale nigdy tu

przedtem nie byłem. Teraz spokojni już o powrót do domu postanowiliśmy zwiedzić brzeg. Było to miejsce, dokąd z całego płaskowyżu ściągano drewno budowlane, by pod koniec lata formować z niego olbrzymie tratwy i spławiać w ten sposób drewno w dół rzeki, do olbrzymich zakładów drzewnych nad rzeką Angarą. Tu, z góry płaskowyżu, drewno było zrucane do rzeki za pomocą specjalnego toru w kształcie koryta. Kloce drewna, załadowane do koryta w górnej jego części, sunęły ślizgiem z olbrzymią szybkością przez około 300 metrów i wbijały się nurkiem do wody. Po wypłynięciu na powierzchnię były chwywane przez robotników pływających na łodziach w nieco niższym biegu rzeki. Przyciągano je do brzegu i formowano z nich wspomniane tratwy.

ZAJĘCIA ŚRODOWISKOWE

Paliliśmy ogniska i wysiadywaliśmy w dymie, chroniącym od muszek. W dni upalne prosto spod ogniska wbiegaliśmy do wody dla ochłody. Przyglądaliśmy się Rosjanom, którzy pływali łodziami typu bączek; była to przeważnie młodzież. Pływali dla rozrywki, czasem łowiąc ryby z zakotwiczonej łódki. My tego robić nie mogliśmy, bo nie mieliśmy żadnego sprzętu. Nazywam ich Rosjanami, ale była to przeważnie mieszanina ras. Byli to ludzie z dawnych zsyłek, lub ich potomkowie. Widziało się tu rysy twarzy charakterystyczne dla mieszkańców wszystkich republik radzieckich.



Byli też między nimi Europejczycy, a na pewno Polacy. Wszyscy oni byli jednak zamaskowani i skryci, nie zwierali się ze swojego pochodzenia, unikając kontaktów z nami, ponieważ byliśmy ludźmi drugiej kategorii, częściowo tylko objętymi prawem cywilnym. Czuliśmy się niewolnikami, chociaż poruszaliśmy się swobodnie. Nikt jednak nie mógł stąd odejść ani uciec, bo nie miało to najmniejszych szans powodzenia. To, że tubylcy stronili od nas, nie wynikało z ich dumy, z przeświadczenia, że są ważniejsi od nas, lecz raczej ze strachu, tak na wszelki wypadek. Jeśli mówić o dumie to była ona cechą czystych etnicznie Rosjan, z czego najczęściej wynikało ich łotrstwo. Jednak nie było to regułą. Można by to tak określić: wcale nie znaczy, że Rosjanin to łotr, ale jeżeli już łotr, to raczej Rosjanin. W dużej mierze ludzie tutejsi byli skromni i pokorni. Ludność ta, która odsiedziała swoje wyroki, odzyskała wolność i mogła się starać o przeniesienie w inny rejon Syberii, na równi z ludnością rdzennie rosyjską. Na ogół jednak nie mając po odsiadce szans i środków, pozostawała na miejscu i zakładała rodziny. Po uzyskaniu swobód obywatelskich, ci z dobrą opinią starali się o broń myśliwską i niektórzy dostawali ją. Toteż tubylcy często posiadali dubeltówki i w pewnym sensie mogli współpracować z milicją na swoim terenie. W wolnych chwilach polowali. Przeważnie na ptactwo, wśród którego głuszec uchodził tu za króla ptaków. Zwierzyną łowną były: zające, króliki, lisy, rzadziej wilki, niedźwiedzie i „sachaty” (może *suchaki*?) zwierzęta trochę podobne do łosiowatych i może jeszcze inne. Prawdopodobnie nie było tu żadnych praw łowieckich, zabijano wszystko co się rusza. Prawdopodobnie uważano, że człowiek tu wszędzie nie dotrze i całej populacji zwierzyny nie zniszczy, tyle tylko, że coraz dalej trzeba było wyprawiać się na polowanie. Na *sachaty* kopano doły, które z wierzchu były maskowane gałęziami i ściółką leśną. Takie zasadzki robiono daleko od osady, często blisko rzeki, na drodze, gdzie zwierzę miało ścieżkę do wodopoju. Miejsca te były kontrolowane co kilka tygodni. Ludność miejscowa miała własne małe domki z wielkim piecem o płaskim sklepieniu. Piec był zawsze na wprost wejścia i przylegał do przeciwległej ściany. Na takim piecu, zwłaszcza w porze zimowej, sypiała cała rodzina. Pościelą ich były przeważnie futra. Podobne piece widziałem u polskich Ukraińców na Podolu. Pieców kuchennych z fajerkami nie było. W tym wielkim piecu, na którym sypiali, było duże, głębokie palenisko, podobnie jak w naszych piecach chlebowych, jeszcze czasem spotykanych na wsiach. Do paleniska pieca można było włożyć duże kłody drewna. Cały piec nagrzewał się do samego sklepienia. W tych piecach gotowano również strawę, do czego używano garnków żeliwnych, zwanych „czugunami”. Napęczniony garnek był stawiany bezpośrednio na ognisku w piecu. Do wstawiania garnków do pieca służyły specjalne widły z za-

okrągłymi dwoma końcówkami, które pasowały do zwężonej, dolnej części garnka. Potrawy tych ludzi były niezmiernie proste, nie wymagały więc częstego próbowania. Gotowano najczęściej ziemniaki w mundurkach, które jedzono maczając je w soli i popijając „kpiatokiem” lub mlekiem, które było tu luksusem. Czasami gotowano jakieś mięso, albo zupełną rybą zwaną „uchą”. Oprócz domu każda rodzina miała, na ogół przez siebie zrobioną, łódkę typu bączek lub czółno. Łódka pozwalała łowić większe ryby. Połów taki odbywał się wieczorem. Na dziobie łodzi, na wysięgniku mocowano ruszt skratowany, stalowy, podobny do koszów koksowych, jakimi ogrzewają się na budowach nasi robotnicy w czasie dużych mrozów. Ruszty te były nieco niższe ale szersze. Na ruszcie tym palono ogień, rozświetlając nim spokojne lustro wody. Ryba widząc światło, zbliżała się do niego i w jego blasku traciła zdolność oceny wysokości wody nad nią i przy samej łódce wynurzała się, pokazując swój grzbiet nad wodą. Wtedy co większą sztukę nadziewano na szpikulec, podobny do harpuna. Ostrze tego „harpuna” było nacięte, tak że utkwivszy w ciele ryby nie wysuwało się łatwo. Duże ryby suszono na zimę. Niektórzy mieli też własne ogródki działkowe o wyznaczonym areale. Niezależnie bowiem od tego, na jakim obszarze budował dom, ogródek musiał mieć określoną powierzchnię nieprzekraczającą 1.000 m², w przeciwnym razie mógł być posądzony o kułactwo. Na tej powierzchni sadzono ziemniaki, kapustę, ogórki, czasami marchew, buraki, mak, cebulę i czosnek. Zbiory z tej działki przyzagrodowej zapewniały uzupełnienie na cały rok fasowanego żywienia zbiorowego. Do tego należy jeszcze dodać własną jedną krowę na rodzinę, ze stogiem siana na zimową paszę. Praca zawodowa tych ludzi wynikała raczej z obowiązku niż z potrzeby zdobycia środków utrzymania. Pracujący Sybirak otrzymywał odzież roboczą i obuwie. Zarobione pieniądze wystarczały jedynie na wykup przydziałowego chleba, kaszy i czegoś z odzieży, ewentualnie jakichś używek.

Należy jeszcze dodać, że do zagrody rodzinnej, często dla kilku rodzin z jednej rodziny, należała „bania”. Rodzinna bania syberyjska to budynek z bali drewnianych, o dwuspadowym dachu. W jednej ze szczytowych ścian były niziutkie drzwi, a w przeciwległej ścianie szczytowej okienko o powierzchni do pół metra kwadratowego, z czterema małymi szybkami lub błoną cielecą. W środku podłoga i sklepienie drewniane. Z prawej strony przy wejściu jest palenisko bez komina obłożone kamieniami granitowymi. Nad paleniskiem zawieszony jest kocioł żeliwny, o pojemności około 60 litrów. Przed kąpielą kocioł napełniany jest wodą, przynieszoną prosto z rzeki. Kąpiele odbywają się przeważnie w soboty, po pracy. Za paleniskiem, po prawej stronie są przytwierdzone do ściany szerokie półki, jedna nad drugą, aż pod sufit, które służą do leżenia. Ogień w paleni-

sku rozgrzewa przede wszystkim kamienie i nagrzewa wnętrze. Dym uchodzi przez górną strefę drzwi. Całe wnętrze wypełnia dym, drzwi w czasie palenia muszą być otwarte. Niziutko, nad samą podłogą, nie ma dymu, tędy więc chyłkiem przemykano się do paleniska, żeby doglądać ognia (kilka razy to robiłem). Nie można było wyprostować się, bo wówczas żrący dym drażnił oczy, dusił gorzej niż w kurnej chacie. Pod wpływem żaru w palenisku woda w kotle nagrzewa się do wrzenia, a kamienie rozpalają się do czerwoności. Wówczas gasi się ogień (wystarczy nie dokładać drewna) i wietrzy wnętrze. Wtedy wchodzi do bani cała rodzina. Kiedy wszyscy są już rozebrani, jeden z obecnych chłusta zaczerpniętym dużą konwią wrzątkiem na rozpalone kamienie. Konwia stale jest zanurzona we wrzątku, znajdującym się w kotle, wystaje tylko jej trzonek. Wrzątek wylany na rozpalone kamienie natychmiast zamienia się na parę, która wypełnia wnętrze szczelnie zamkniętej bani. W bani robi się gorąco. Kąpiący się nabierają wrzątku z kotła za pomocą drewnianych konwi na kij i dolewają go do „tasów” czyli do drewnianych cebrzyków, które wcześniej były częściowo napełnione zimną wodą tak, by otrzymać wodę w temperaturze odpowiedniej do mycia lub splukania. Cebrzyki ustawiało się na którejś niższej czy wyższej półce i zaczynało się mycie. Najczęściej jednak wodę zostawiano na dole i wchodziło na wyższe półki, gdzie temperatura jest tak wysoka, że leżący tam pocą się bardzo obficie. Jednocześnie jeden drugiego, lub każdy sam siebie biczuje za pomocą wiązki wici brzoźowych ususzonych razem z liśćmi, związanych w małą miotłę. Biją się tymi miotłami w obłokach gorącej pary po całym ciełe. Ich skóra czerwienieje. Od czasu do czasu, kiedy temperatura zaczyna spadać, zeskakuje ktoś z półki, żeby chlusnąć wrzątkiem na rozpalone kamienie i temperatura w bani znów podnosi się i dalej mogą się biczować.

Pot wydzielany przez skórę intensywnie spływający po całym ciełe przez pory skórne, doskonale oczyszcza skórę bez mydła. Po kilkunastu minutach bywalcy bani splukują się ciepłą wodą z tasów i są umyć bez mydła. Widziałem jak rozgrzani gorącą parą młodzieńcy wyskakują z bani, z najwyższej półki i wybiegają na dwór, by wskoczyć do rzeki z zimną wodą. Podobno ciało ich jest tak rozgrzane, że nie doznaje szoku termicznego, bo jest chwilowo znieczulone. Oni zaś trochę się pokapiają, popływają w Czunie i znów biegną na nagusa do gorącej bani.

Byłem kilka razy w takiej bani, ale wejść mogłem tylko na drugą półkę, a wyżej było ich jeszcze dwie. Nie mogłem wytrzymać panującej tam temperatury, podczas gdy obecni razem ze mną Rosjanie biczowali się na najwyższej półce. Po chwili robiło mi się słabo i musiałem schodzić na dół; kładłem się na podłodze, gdzie jest najchłodniej, ale nie śmiałem wychodzić wcześniej, bo otwarcie drzwi wyziębia banię. Prawdę jest, że trze-

ba być wyjątkowo zdrowym, żeby móc w pełni korzystać z bani. Przede wszystkim serce trzeba mieć jak dzwon. Nam natomiast daleko było do tak wspaniałej kondycji. Inni Polacy czasem korzystali z jednej bani, która była niczym.

My Polacy nie byliśmy tu zagospodarowani, nie mieliśmy potrzebnego sprzętu. Dorośli byli pędzeni do pracy. Nie mieli więc czasu na zorganizowanie gospodarstwa. Byli zmęczeni. My, dzieci nie mieliśmy koniecznego doświadczenia, dopiero trzeba było je zdobywać. Wszystko, co robi się pierwszy raz, jest bardzo trudne. Dlatego długo byliśmy biedni. Poza tym brakowało nam przede wszystkim zdrowia, które szwankowało po ciężkiej podróży i przebytej chorobie. Pierwsze lato upłynęło nam na aklimatyzowaniu się do nowych warunków i podpatrywaniu w jaki sposób żyje człowiek w tajdze syberyjskiej. Całe życie skupiało się tu nad wodą, a my byliśmy ludźmi związanymi z łądem, z pracą na roli. Tutaj woda dawała nie tylko przestrzeń, ale i pewną swobodę, a przede wszystkim dostarczała żywność w postaci łowionych ryb oraz wodę do picia, która zaspakajała pragnienie. Nigdzie tu nie było studni, bo i po co? Gdyby ktoś Sybirakowi zaproponował wykopanie studni, żeby z niej czerpać wodę, to ten popatrzyłby na niego, popukałby się w czoło i powiedział:

- *Durak!*

Wszyscy przynosili wodę z rzeki, która służyła do picia i mycia. Często też kąpiąc się w rzece piliśmy wodę bezpośrednio z jej nurtu, jak konie u wodopoju. Nikt jeszcze wówczas - nie tylko na Sybirze, ale i u nas w Polsce - nie słyszał o takim pojęciu jak zanieczyszczenie środowiska. Pamiętam, jak pod Krakowem, gdzie się urodziłem, idąc w upalną niedzielę do kościoła w Iwanowicach, piliśmy wodę z rzeki Dłubni, czerpiąc ją własnymi kaszkietami, zdjętymi prosto z głowy. Rzeki syberyjskie są olbrzymie. Średnia szerokość rzeki Czuny na wysokości Jurokty wynosiła, według mojego szacunku pamięciowego, około 200 metrów, a Czuna rzadko widnieje nawet na mapach dość szczegółowych, a przecież jest większa od Wisły.

Siedząc na lewym brzegu Czuny w sobotni wieczór wypatrywaliśmy, czy po drugiej stronie rzeki nie widać kogoś wołającego przewoźnika. Pełenczyce leżały na tym samym brzegu co Jurokta, lecz łądem z Palenczyc do Jurokty nie można było przejść ze względu na bagna ciągnące się między tymi miejscowościami, a nadto kilka małych dopływów Czuny, na których nie było mostków. Chcąc dostać się w porze letniej z Jurkoty do Palenczyc, trzeba było dwukrotnie przepływać Czunę, korzystając z usług przewoźników. Przeprawa zaczynała się w Jurokcie, druga w Kadarei, około 5 kilometrów w górę rzeki. Droga z Jurokty do Palenczyc była łatwiejsza niż w odwrotnym kierunku, bo płynąc z Jurokty do Palenczyc brało się na miejscu przewoźnika w Jurokcie i w Kadarei, natomiast idąc z

Palenczyc do Jurokty trzeba było nawoływać go przez rzekę i pod Kada-reją i pod Juroktą. Przewoźnik zwykle nie spieszył się, gdy go nawoływa-no z przeciwnego brzegu rzeki.

Co drugą sobotę, a rzadko co sobotę, Ojciec przychodził do swojej żony i swoich dzieci. Czekaliśmy więc na niego wypatrując, czy nie woła przewoźnika. Czasu miał niewiele, bo jeszcze teje soboty wracał czasem z powrotem. Czasem wracał do pracy dopiero w niedzielę i mógł dłużej pobyc z matką i popatrzeć na swoje dzieci. Opowiadał co u niego sły-chać, zmieniał bieliznę i wracał do pracy. Jeśli miał wolną niedzielę, to pozostawał z nami dłużej. Zostawiał nam trochę rubli na wykupienie chleba, bo pieniądze, które matka zarabiała, nie wystarczały na chleb dla całej rodziny.

Matka pracowała w lesie blisko Jurokty. Była to praca akordowa. Mat-ka była jednak słaba i nie mogła wykonać całej normy, najwyżej połowę. Ojciec natomiast wyrabiał 150% normy, ale nie wypłacali mu całego za-robku. Był ciągle okradany, skarżył się, że krzywdzono go i wykorzystywa-no. Otóż rzecz polegała na tym, że jak już poprzednio wspomniałem, dla Rosjanina nie ma groźniejszego wroga niż kułak. Może tylko w czasie wojen większym wrogiem był samuraj albo faszysta. Tak się złożyło, że z ojcem pracował Ukrainiec polskiego pochodzenia razem z nami zesłany, który podlizywał się swoim przełożonym i donosił im kto kim był w Polsce. Ojca przedstawił jako bogatego kolonistę, który miał 10 hektarów ziemi na Podolu i zatrudniał siłę najemną spośród ludności ukraińskiej. Wiado-mość ta zmieniła stosunek brygadzysty do Ojca, podziałała na niego jak czerwona płachta na byka. Poprzysiągł Ukraińcowi, że teraz on zemści się na kułaku i upodli polskiego pana tak, że zostanie z niego skóra i ko-ści. Zaczął ojca szykanować, przydzielając mu najcięższe prace. Współ-towarzyszy ojca zamieniał na nowych. Ojca stawiał do bala od grubszej strony i tam kazał podważać drągiem. Nie pozwalał mu przystanąć na chwilę na papierosa jak innym.

Wyплаты nie były wypłacane regularnie co miesiąc. Zależało to od przylotu samolotu z pieniędzmi, dokumentami i pocztą. Czasami samolot długo się nie zjawiał ze względu na złe warunki atmosferyczne, jak i zły stan lądowiska, którym była zwykła łąka. Jeżeli jednak sprawa była pilna, to samolot przylatywał, niezależnie od warunków lądowania. Dawał odpow-iednie sygnały i zrzucał kilka worków na pole koło biura miejscowego naczalstwa. Często więc dawano zaliczki po kilka rubli, które ojciec brał bo były mu potrzebne na bieżące własne wyżywienie albo chciał je prze-kazać rodzinie. Kiedy przyszła wypłata, to na liście, gdzie ojciec kwitował 5 czy 10 rubli, było dopisywane zero. Tak oszukano ojca kilka razy na 50 i raz na 100 rubli, kiedy więc przyszła wypłata, nie tylko nic nie otrzymał,

ale okazało się, że jest zadłużony na 25 rubli z racji nadpłaty. Musiał zatem natychmiast wziąć zaliczkę, którą kwitował na innej liście i od nowa zaczęło się to samo. Nie mógł się nigdzie poskarżyć bo i tak by mu nie uwierzono, albo wręcz zarzucono, że oczernia przełożonych. Ojciec po tych przejściach stał się bardzo nerwowy i dochodziło do awantur, bo domagał się sprawiedliwości. Działo to jednak jak groch rzucony o ścianę. Doszło do tego, że przeciążony pracą ojciec mdlał ze zmęczenia. Musieli cucić go wodą. Kiedyś widząc, że jest z nim źle, zaprowadzili go do sanitariusza, który spełniał rolę lekarza. Sanitariusz popatrzył ojcu w oczy, spojrzął na język, dłonią pomacał pośladki, chcąc się upewnić, czy ma jeszcze trochę mięśni i kazał iść do roboty. W drodze powrotnej brygadzi-
sta powiedział ojcu, że jak nie zmięknie, to w ciągu roku go wykończy. Ukraińców, którzy donosili, było więcej, bo Rosjanie potrzebowali szpic-
łów informujących każdego dnia co kto mówi i robi. Donosiciele byli suto wynagradzani i można powiedzieć, że powodziło im się nieźle, dużo lepiej niż innym. Byli syci i spokojni o swoje jutro. Ojciec odgrażał się im, że po powrocie do Polski upomni się o swoje krzywdy, bo był przekonany, że jeszcze Polska nie zginęła, że Polska powstanie od nowa i wrócimy do kraju. Na takie gadanie Ukrainiec o nazwisku Bekier był wściekły, bo taka wizja przyszłości nie była mu na rękę. Ojciec chcąc mu robić na złość przypominał mu o tym dość często. Wyrażane przez ojca nadzieje na powetowanie krzywd wywoływały wśród Rosjan śmiech. Pokazywali mu dłonie, mówiąc, że tu im włosy wyrosną nim to się stanie. Po jakimś czasie nagonka na ojca zelżała. Może żal im się zrobiło tego człowieka, który był szczery, pracowity i nikomu krzywdy nie czynił. Nie wiem tylko jakie ojciec miał wyżywienie w pracy.

Inaczej żyło się naszemu stryjowi, który w swoim pokoju powiesił portrecik Stalina. Komendant wpadał czasem do niego, bo uważał go za sympatyka komunizmu a stryjenka była jeszcze młodą i ładną kobietą. Komendant chętnie na nią patrzył i czasem przyłożył jej „protekcjonalnego” klapsa. Stryjowi dzięki temu lepiej się działo. Ojciec nie mógł mu darować tego portretu i zabronił nam chodzić do stryjostwa.